



BIULETYN

KOŁA MIŁOŚNIKÓW DZIEJÓW GRUDZIĄDZA
KLUB „CENTRUM” SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ



W. Pieńkowski

Rok XV: 2017

Nr 9 (506)

Data odczytu: 01.03.2017 r.

Data wydania: 01.03.2017 r.

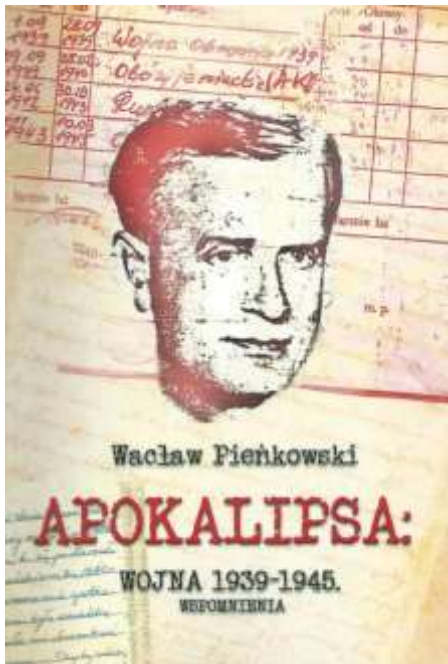
=====

1057. spotkanie

Emilia Pieńkowska

Wacław Pieńkowski (1919-1994) i jego pamiętnik

Wacław Pieńkowski (1919-1994), nauczyciel licealny biologii i pedagog, były robotnik przymusowy Trzeciej Rzeszy, aktywny działacz podziemnej Armii Krajowej na Łotwie, były więzień polityczny słynnej w Rydze „Centruszki” oraz więzień obozu koncentracyjnego w Stutthofie, urodził się 18 lutego 1919 roku w Nieszwałkach koło Kolna (Białostockie) w rodzinie szlachty zagrodowej. Przed wojną ukończył gimnazjum w Grudziądzu.



Kiedy Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę we wrześniu 1939 roku, miał dwadzieścia lat. Wraz ze starszym bratem Józefem przeszedł szlak bojowy na trasie Grudziądz – Warszawa, we Włocławku zaciągnął się do 14 Pułku Piechoty, brał udział w walkach w obronie Warszawy, tam też po kapitulacji trafił do niewoli. Roboty przymusowe, poniewierka u bauerów, aresztowanie, obóz dla internowanych... Wojenne losy rzuciły go na Łotwę, gdzie jako jeńiec pracował na ryskim lotnisku – i tam wstąpił w szeregi AK. Praca konspiracyjna jego organizacji związana była z wywiadem wojskowym, podporządkowanym bezpośrednio generałowi Władysławowi Sikorskiemu. Na skutek niewyjaśnionego do dzisiaj donosu jednego ze współwięźniów cała jego grupa została aresztowana;

wszyscy (ponad 70 osób) trafili do Centralnego Więzienia w Rydze. Później, już po kapitulacji von Paulusa pod Stalingradem, kiedy Armia Czerwona wkroczyła na

Łotwę, Waclaw Pieńkowski wraz z ocalałymi towarzyszami (przywódców w „Centruszcze rozstrzelowano) trafił wielkim, liczącym trzy tysiące ludzi transportem do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Stutthof. Jego wyzwolenie nastąpiło w trakcie słynnego Marszu Śmierci w marcu 1945 roku.

Po wojnie wrócił do Grudziądza, gdzie zaczął poszerzać swoje wykształcenie na kursach nauczycielskich, podjął pracę i założył szczęśliwą rodzinę, następnie skończył studia dzienne na Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku na kierunkach biologia i, równolegle, pedagogika. Był inwalidą wojennym, jednak w szkole pracował z wielkim poświęceniem – miał poczucie misji (płace w tym zawodzie zawsze były niewspółmiernie niskie).

Waclaw Pieńkowski był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany, m.in. szczególnie dla niego cennym medalem „Zasługi dla Ziemi Gdańskiej” oraz „Złotym Krzyżem Zasługi”. Zawsze niepokorny i często skłócony z ówczesnymi władzami, miał jednak wielki mir wśród swoich uczniów. Jako wieloletni dyrektor wielu placówek oświatowych: Liceum Ogólnokształcącego w Chorzeliach na Mazowszu, a potem Liceum Ogólnokształcącego w Żukowie koło Gdańska, Szkoły Podstawowej w Skrzyszewie na Kaszubach i Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Wąbrzeźnie koło Grudziądza, kładł zręby powojennej edukacji w zniszczonej wojną Polsce.

Na emeryturę przeszedł w wieku sześćdziesięciu lat. Umarł w Poznaniu 16 czerwca 1994 roku. Pochowany na Cmentarzu Komunalnym Miłostowo w Poznaniu.



Książka, którą trzymacie Państwo w ręku dzisiaj, na początku trzeciego tysiąclecia, to tak naprawdę – przez pryzmat jednostkowego losu – synteza wspomnień wojennych wszystkich naszych śp. Ojców, synteza wspomnień tej apokalipsy lat 1939-1945, z krótkich balastem całe to pokolenie szło już potem przez życie – ci słabsi potykając się i przewracając, ci dzielniejsi z głową podniesioną. Ofiary hitlerizmu to ludzie nie tylko fizycznie unicestwieni, zabici nalotami, podpalenia, zastrzeleni, powieszani, spaleni w krematoriach, zagłodzeni, wyniszczeni nieludzkimi warunkami (a w skali Europy to przeszło 40 milionów)! Dużo więcej było tych, którzy przeżyli, jednak... jakież niewyobrażalny bagaż ci „ocaleni” dźwigali przez resztę swoich dni na własnym garbie! My – dzieci – długo nie dzieliliśmy tych przeżyć, bo Rodzice chronili nas przed taką wiedzą – zbyt brutalną nawet dla dorosłego – o tamtym czasie. Żyliśmy beztróskim wesołym życiem, bimbaliliśmy w szkole i na huśtawkach, i dopiero kiedy okrzepliśmy, porośliśmy wąsem i wydorosleliśmy, ta złowroga twarz wojny – przez lektury

Borowskiego, Szołochowa, Monserrata, Nolla, filmy takie jak „Kanal”, „Tak tu cicho o zmierzcu” i setki innych – zaczęła i nam ukazywać swoje prawdziwe oblicze.

Ojciec spisał swojej wspomnienia kilka lat przed śmiercią jako stary schorowany człowiek. Kartek nie numerował, wiele wątków obsesyjnie waracało, część Jego notatek to manuskrypt, ale zachował się też maszynopis. Ryzykując zawał swego steranego serca, rzutem na taśmę Tato – nauczyciel i pedagog – przekazał nam to, co najważniejsze: niczym nieuszumkowaną nagą prawdę o wojnie! I popatrzcie, Państwo: mamy XXI wiek, a ci Jeźdźcy Apokalipsy, ten Żelazny Kościej Nieśmiertelny, Mars nadal walczą! Szwadrony Śmierci spopielają Ziemię-Matkę i w Afganistanie, i w Afryce Północnej, i w Azji, ostrzą swe zęby w Korei – i wszędzie tam, gdzie człowiek jest tylko mierzwą, jak w Sztutthofie!

Z życzeniami wielu wzruszających momentów podczas tej jakże często szokującej lektury

Emilia Pieńkowska, córka

„WSPOMNIENIA WOJENNE”

RODZIAŁ XI P O K Ł O S I E

Po tygodniu przyjechał do Grudziądza Józek Piotrowski z Mniszka, który już jakoś pozbierał się po tej kontuzji odłamkiem prosto "w rzyć" i powoli kuśtykał.

- Wacek, chodź! Zapisujemy się na kurs nauczycielski!

- Dobra! – i teraz już kuśtykaliśmy na zajęcia razem.

Któregoś dnia spotkałem moją rówieśnicę, "koleżankę" panią Jabłońską (uczyła w szkole).

- Panie Wacku, przecież pan skończył wydziałówkę. Teraz ma pan prawo pójść do 10 klasy wieczorówki. Ma pan świadectwo?

- Nie, ale mam zaświadczenie oryginalne, wydane przez magistrat Grudziądza jeszcze w 1936 roku.

- Niech pan idzie do dyrekcji LO dla dorosłych (gdzie obecne Liceum Przyrodnicze) i niech się pan zapisze!

W 1945 r. skończyłem ten kurs nauczycielski, a we wrześniu już zacząłem ogólniak dla dorosłych kierunku biologia. Ale nie obyło się wcześniej bez kłopotów; przed przyjęciem kazano mi nadrobić zaległości z łaciny (której w wydziałówce nie uczono) i dano mi na to czas przez wiosnę i lato. Jak zwykle – pomógł mi przypadek: profesorka z kursu dla nauczycieli, polonistka, pani Koźlikowa zainteresowała się, jak "postępują" moje przygotowania do liceum. Szczęśliwie było to już w wakacje; opowiedziałem jej o moich mękach z łaciną, a ona poleciła mi zgłosić

się do jej córki, która była studentką romanistyki. Możecie sobie wyobrazić, jak ja wcześniej się sam "uczyłem" – z drugiej strony co przeżywałem, nie mogąc w żaden sposób wynagrodzić trud dobrodziejki mojej, panny Koźlikówny. Cała zresztą rodzina "Koziołków" była "nie z tej ziemi": profesor Koźlik – senior był moim historykiem na rzeczonym kursie. Wówczas byłem nieźle "oblatany" w historii jako były uczeń prof. Zofii Chrzanowskiej. Chory na otwartą gruźlicę prof. Koźlik, gdyby mógł, nieba by mi przychylił! Na moje argumenty mała Koźlikówna replikowała:

- Panie Waclawie, nie ma o czym gadać! Ja przy okazji sama powtarzam i przypominam sobie łacinę! To podstawa romanistyki!

W końcu sierpnia jakoś zdałem wymagany egzamin, ale na tym nie koniec: trzeba było jeszcze zdać jakiś język nowożytny, francuski albo niemiecki. Powiniennem zdać francuski, ale skończyłem go w 1934 r., a teraz był 1945! Po pisemnym z francuskiego prof. Kalinowska oświadczyła:

- Panie Pieńkowski, przykro mi, pańska praca jest na poziomie 9 klasy liceum!

I znowu cud – słyszy to prof. Gilewska, germanistka:

- Po tym pańskim "mundurze" sądząc (miałem na sobie "pasiaki"), widać, że skończył pan "studia" w obozie. Na pewno zna pan dobrze niemiecki!

- Rzeczywiście, pani profesor – Niemcy często używali mnie jako tłumacza.

No, i de facto: zdałem niemiecki na dobrze! Ucałowałem rączki obu pań profeserek, kupiłem kwiatki dla panny Koźlikówny – i zostałem pełnoprawnym licealistą. Szkoła mieściła się przy Sienkiewicza (dawne Liceum Chrobrego).

W ciągu roku różnie było: przede wszystkim musiałem iść do pracy. Poprzez koleżanki, córkę dyrektora Banku Narodowego, Burgera, i jej siostrę (Kuczyńską) zostałem... strażnikiem bankowym. Koledzy z pracy poszli mi na rękę – a i dyrektor też pozwolił, żebym służbę odbywał w nocy.

Pewnego wieczoru kilku pijanych "bojcow" – krasnoarmiejcow chciało się dostać do banku:

- Ty, takoj-siakoj! Odkroj!

- Ujditie at wchoda, a to strielat' budu! – język znałem z czasów więzienia w Rydze, więc może co wskóram... Miałem stanowisko za płytą pancerną, więc kiedy zaczęli do mnie "grzać", nie zostałem im dłużny! Jak zrobiło się naprawdę gorąco, bo "bojcow" przybywało, a nas było tylko dwóch, nadbiegli zaalarmowani milicjanci – i w końcu ich zgarnęli...

Idylla skończyła się, gdy papa Burger dowiedział się, że jestem żonaty – gdzieś tam sobie projektował zrobić ze mnie urzędnika, a potem wydać za mnie swą "mocno dojrzałą" córkę...

Drugi kłopot to była matematyka – stary kawaler, prof. Benedajt nikomu nie darował. Chucherko to było – ale tęgie duchem: ile on mnie nie napiłował – nadęczył! Rozbrat z tą dziedziną wzięłem 12 lat temu – ile miałem zaległości, ten o tym wie, kto podobnie przeżywał: egzemplum nasza kochana Ewa... W końcu biedny profesor pyta:

- Jakiego przedmiotu będzie pan uczył?

- Biologii lub geografii, panie profesorze – odparłem bardzo zgnębiony.

- Chwała Bogu, z matematyką nie będzie miał pan nic wspólnego!

"Kto wie?" – pomyślałem...

W czerwcu 1946 r. zdałem maturę. Byłem z tego dumny – jako pierwszy z rodziny! Przed wojną to był szczyt moich marzeń! Do egzaminów przygotowaliśmy się z kolegami zespołowo. W ostatnie zaś dni odprawiliśmy nasze żony – Zychu i ja – do teściów w Mniszku i kuliśmy prawie non – stop.

Z polskiego wybrałem, pamiętam, temat "wolny": "Zadanie Grudziądzan w odbudowie Polski" (coś w tym stylu) – i udało mi się napisać to na 4. Ustną maturę mieliśmy zdawać wg alfabetu – razem około 120 osób. Przybiega Zych i prosi:

- Wac, ja nie jestem przygotowany na jutro! (był na literę "D"). Zdawaj ty za mnie, a ja będę zaliczał w twoim terminie! Sprawę z komisją już załatwiłem!

Z marszu więc z bijącym sercem stanąłem przed egzaminatorami – i wszystko zdałem mniej więcej dobrze. Mocną ocenę dostałem z historii – db+. Obkuty byłem szczególnie z historii starożytnej (zasługa prof. Chrzanowskiej z wydziałówki). Nie znany mi przewodniczący komisji maturalnej zapytał:

- Kto pana uczył?

Kiedy odpowiedziałem, on na to:

- Ta nauczycielka dobrze przygotowała swoich uczniów! – pochwalił ją... i mnie.

Zrobiono mi po maturze oczywiście mały jubel; szczerze gratulował mi Zych i koledzy z naszej paczki. Ja byłem bardzo szczęśliwy – przez wcześniejsze zdanie egzaminów sporo czasu zaoszczędziłem i mogłem się przygotować do startu na Uniwersytet Warszawski lub na Uniwersytet Kopernika w Toruniu.

Niestety – wszędzie były już komplety. Dostałem się na historię w Poznaniu – co z tego, skoro miejsca w akademikach były już zajęte, mimo że miałem preferencje dla byłych więźniów... Przypadkowo w dziekanacie ujrzałem afisz NABÓR NA WYŻSZĄ SZKOŁĘ PEDAGOGICZNĄ W GDAŃSKU! Natychmiast tam pojechałem, lecz okazało się, że wydziału historii wówczas jeszcze nie mieli, wybrałem więc biologię z geografią, kierunek zgodny z moim liceum.

Mieszkaliśmy w akademiku "Krzaczasty Młyn" przy ul. Wejherowskiej (dziś pawilony ZOO w Oliwie). Nauka układała mi się dobrze dzięki mojemu "Chrobremu" – mogłem nawet godzić studia z pracą biletera w kinie "Fala" w Gdyni. Czasu na naukę miałem sporo, bo seanse – wiadomo – są wieczorami.

Pracę w tej "Fali" załatwił mi kolega z Rygi, Leon Pawłowicz. W tym czasie najwięcej pomagał mi właśnie on. Razem z nim mieszkał niejaki Ostrowski, też Ryżanin, który związał się ze straganiarką "nomen – omen" Cieszyńską (tak jak "szwagier" Atanazy). Wyżej wspomniani koledzy poróżnili się bardzo z chwilą wstąpienia Leona do Partii, który szybko został potem "politrukiem" w gdańskiej kinematografii. W tym czasie często pomagał mi materialnie – do chwili, kiedy z kolei on związał się ze swoją sekretarką...

Nadszedł moment, kiedy mogłem mu się odwdziżyć: kiedy stał się "ważny" w Gdańsku, partia zażądała opinii z NKWD w Rydze, a wtedy okazało się... że był lotewskim policjantem, co bardzo nie pasowało naszej SB. Z miejsca został zdjęty – i podjęto przeciw niemu represje. Przyjeżdżał kilka razy do mnie z prośbą o napisanie o jego postawie w czasie okupacji w Stutthofie – oczywiście, zgodnie z prawdą

wystawilem mu jak najlepszą opinię; pisałem kilkakrotnie w jego sprawie i broniłem go.

W czasie studiów na WSP byłem przewodniczącym ZAMP (Związku Akademickiej Młodzieży Polski?) – i to do końca. Miałem w związku z tym sporo zajęć, szczególnie w kontaktach z młodzieżą z NRD. Ponieważ władałem perfect niemieckim, to przy lada okazji musiałem ich gościć, a przede wszystkim być ich przewodnikiem i tłumaczem. Ileż upokorzeń i złości przeżywałem, kiedy rówieśnicy moi – Niemcy (już na pierwszy rzut okiem widać, że ex-wermachtowcy i na pewno z Hitler Jugend) zwracali się do mnie per "Kammerad", odczepiali mi znaczek ZMP i bezczelnie polecali nosić te ich "Młodzieży Niemieckiej", kiedy niebawem tu wróca! ("wir kommen wieder nach Danzig!").

Kilka razy przerywałem studia i musiałem jeździć do sanatorium, gdyż okazało się, że w Stutthofie zaraziłem się gruźlicą (pozostałość do dziś: zwapnienie gruczołów przywnekowych w płucach). W dodatku zimą 1946/47, która była bardzo mroźna, a ja nie miałem żadnego płaszcza, zachorowałem bardzo ciężko na grype i skutkiem tej choroby miałem często krwotoki z nosa.

Rozczulający swoją troskliwością był nasz uczelniany lekarz z Żukowa (Kisiel? Woronowicz?) rodem z Wilna. Po pierwszym krwotoku był już przy mnie:

- Panie Pieńkowski, niech mi pan nie umrze!

Uśmiełem się i, hamując wesołość, rzekłem:

- Postaram się, panie doktorze.

Ponieważ z żywnością było krucho (w akademiku tylko te śledzie na przemian z dorszami), drogi kochany lekarz przynosił mi... tran:

- Czy pan lubi tran?

- Dla pana będę pił nawet tran, panie doktorze!

- Niech pan dużo je chlebka – i popija tranem. Kiedy stanie pan na nogi, wyśle pana do sanatorium przeciwgruźliczego w Karkonosze.

Dzięki temu złotemu człowiekowi dostałem zimowy płaszcz, ciepłą bieliznę i dwa porządne ubrania (w tym mundur... szwedzki) z UNR-y. Takiego drugiego lekarza w moim życiu już potem nie spotkałem... Niech Mu Ziemia Gdańska będzie lekka (gdyby żył, miałby dzisiaj grubo po setce: on był staruszkim – ja miałem wówczas 27 – 28 lat...)

Do sanatorium w Szklarskiej Porębie w Karkonoszach pojechałem w czasie ferii Bożonarodzeniowych.

Dziekanem na wydziale biologii była profesor Maria Krynicka (?) – wykladała botanikę. Pomagała mi z całego serca; poznała mnie ze studentką z drugiego roku z biologii, której ojciec był nadleśniczym w Gdańsku-Oliwie – dla mnie istną chodzącą "kopalnią" wiadomości i książek botanicznych! Jako temat pracy dyplomowej wybrałem "Rośliny iglaste w Polsce i ich pasożyty". Temat zasugerował mi właśnie pan nadleśniczy:

- Panie Waclawie, będę mógł panu dostarczyć literaturę o wszystkich roślinach szpilkowych oraz wszystkich pasożytach tych drzew!

Pani dziekan była czułą, starszą panią – nazywaliśmy ją "Mama". Dla mnie była szczególnie dobra, bo byłem bardzo chorowity i słaby, poza tym ze względu na żo-

nę i synusia musiałem pracować. "Mama" uczelniana robiła wszystko, żeby mnie "kryć"; w tamtych czasach student w Polsce miał tylko studiować, i nie należało pozwalać mu na pracę! Moje stypendium wynosiło ok. 1000 zł – czy mogłem za takie pieniądze utrzymać rodzinę?! (jako nauczyciel w 1949 r. zarabiałem 45 tysięcy zł).

Pod koniec nauki pracowałem w Państwowych Zakładach Przemysłu Wełnianego nr 12 w Oliwie jako referent kulturalno-oświatowy, gdzie zostałem opiekunem sekcji bokserskiej. Nie bez znaczenia było również to, że dostawaliśmy tam posiłki regeneracyjne; w akademiku były – jak już mówiłem – dwa rodzaje dań: albo dorsz (jeden dzień) – albo śledź. Tutaj dostawiałem w miarę potrzeb także zwolnienia z pracy – zwłaszcza w czasie występów naszych pięściarzy. Jeszcze przed egzaminami końcowymi moja firma została przeniesiona gdzieś na Ziemię Odzyskane, i miałem propozycję wyjazdu razem z nimi, ale wolałem jednak skończyć najpierw WSP.

I tak przebrnąłem przez trudny okres studiów w Gdańsku...

Tuż po egzaminach dyplomowych prof. Krynicka – mój promotor – oświadczyła mi na stronie, że jakiś major Podgórski chce ze mną rozmawiać w rektoracie u prof. Dorosza (rektora WSP). Kiedy wszedłem, na mój widok major wstał i z uśmiechem wyciągnął dłoń do mnie. Przywitałem się również z rektorem i jakimś incognito.

- Proszę pana – zagaił major, – postanowiliśmy z panem rektorem zaangażować pana do Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 3 w Elblągu (dzisiaj Szkoła Podoficerska im. Nalazków). Jakie oferujemy warunki? No, więc: mieszkanie w bloku oficerskim, który jest prawie pusty, świeżo odnowiony – lokali od koloru, do wyboru. Pensja: 35-45 tysięcy (mamy rok 1949), wyższa najwyższej pensji nauczycielskiej. Możliwość zarobienia podwójnie lekcjami nadliczbowymi (za zastępstwa, bo brak nauczycieli) itd., itd.

Przerwałem:

- Przepraszam, ja już mam nominację nauczycielską do Liceum Pedagogicznego w Brzegu k. Wrocławia. A poza tym mam potąd "wojaczki" i wojska! – tu wskazałem na gardło, pokąd to ja mam tej armii kochanej. – Kategorycznie odmawiam!

Wówczas to obywatel major pokazał, co potrafi: nominację moją trach! – trach! podarł, krzycząc, że o ile się nie zgodzę wyklądać na OSP nr 3, to nie otrzymam żadnej pracy:

- I pójdziecie tam uczyć, gdzie diabeł mówi dobranoc! Przekonałem was?! – huknął.

- Nie, panie majorze – ja nie boję się pracy na wsi. Po tym, co przeżyłem...

Wówczas major wyciągnął blok kart mobilizacyjnych już ostemplowanych, podpisanych przez ministra MON i rzekł:

- Wpiszę tylko wasze imię i nazwisko – i od tej chwili jesteście oficerem Wojska Polskiego i wykładowcą Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 3!

Ponieważ każde nasze słowo protokołował ten typ obok rektora (efekt psychologiczny), więc odparłem, do niego się zwracając:

- Proszę zapisać, że się poddam i działam pod przymusem, ale wobec tego wolę pracować jako cywil.

W szkole takich była większość, jedynie dyrektor był podpułkownikiem.

Po moim oświadczeniu major zmiękł:

- Proszę pana, niech pan jedzie do domu i niech pan przygotowuje do wyjazdu żonę, dziecko i wszystko, co pan ma ("mein Hab und Gut"). Już pan chyba nie wróci do Grudziądza. Szybko proszę podać adres, bo pojutrze przyjadą po was ciężarówki.

Pożegnaliśmy się "kordialnie" – i każdy poszedł w swoją stronę.

Major zwerbował jeszcze Poznaniaka, A. Apolinarskiego, i, po roku, jakiegoś kolegę X, którego mało pamiętam. Apolinarski był moim znajomym z uczelni w Gdańsku, którą razem ukończyliśmy, tylko on nie na biologii a na mat.-fizie.

Pociąg mi pasował – i tego samego dnia byłem już w Grudziądzu. Jak pamiętacie, było nas wtedy troje: Mamusia, Jureczek i ja.

Stasiulka moja aż się popłakała:

- Jak ja mogę jechać tak daleko od mamy?!

Musiałem ją czarować, że "Elbląg to takie duże piękne miasto" i:

- Dostaniemy ładne i wygodne mieszkanie!

Mama lubi powtarzać: "gdzie ty, Kajus, tam ja – Kaja" za swoim wujkiem Obłębskim, profesorem łaciny i greki w gimnazjum przed wojną i nauczycielem francuskiego w tej samej szkole już po powrocie z Dachau ("ubi tu, Kajus..."), tak więc wszystko co trzeba zostało spakowane. Mieszkanie i rzeczy nam zbędne zostawiliśmy Jankowi (z którym byliśmy podobni, jak te dwie krople wody). Jak nam się po latach za to "odwdzięczył" – wszyscy pamiętamy...

Za dzień czy dwa rano o 8:00 zajechali przed nasz dom na Curie-Skłodowskiej trzema ciężarówkami – w każdej kierowca i dwaj specjalnie przyuczeni jako ekipa transportowa żołnierze oraz ich dowódca major, uprzedzająco grzeczny. Wszyscy zjedliśmy śniadanie, pożegnaliśmy się z Babcią (moją Mamą) – sakum – pakum! i na stację PKP – do wagonów! Tak przy okazji: w zamieszaniu na dworcu grudziądzkim jakiś gorliwy sokista gwizdnął żonie kozuszek. Transport do Elbląga z załadunkiem, dowozem i wyladunkiem odbył się na koszt Wojska Polskiego. Zanim jeszcze wszystko dotarło na Moniuszki 42? 44?, wcześniej już mjr Podgórski pomógł mi i żonie wybrać najpiękniejsze, słoneczne mieszkanie, "jako rekompensatę" za nasze lokum z wc na klatce w Grudziądzu.

- Jako nowi lokatorzy możecie sobie swoje mieszkanie wybrać – powiedział wspaniałomyślnie.

Żona na to:

- Panie majorze, mamy prośbę – prosimy o mieszkanie słoneczne, zalecane naszemu synusiowi przez lekarza...

Ponieważ wszystkie proponowane nam w bloku oficerskim wolne lokale miały te same marne walory (brak słońca), a piękne mieszkanie miał na 1. piętrze tylko on, wobec tego natychmiast kazał podwładnym je opróżnić, polecając żołnierzom przenieść swoje rzeczy do pobliskiej willi – a nasze wnieść właśnie tam. Mieliśmy wówczas jednorocznego Juleczka – i wszystko robiliśmy z myślą o nim (dwa lata wcześniej zmarł nasz pierworodny Geniusz). Teren przed naszymi oknami był wybitnie nasłoneczniony: mieszkaliśmy vis-a-vis basenu pływackiego, i słońca mieliśmy pod dostatkiem.

Wspomniałem o "czarowaniu" mojej Stasi Elblągiem – w rzeczywistości było to miasto stosem ruin; ocalały tylko peryferia... Ponieważ koszary i bloki oficerskie leżały na drodze do Królewca, z dala od centrum, oszczędzono je.

Zamieszkaliśmy – jako się rzekło – przy ul. Moniuszki 42? 46? pracowałem zaś przy ul. Armii Czerwonej, dawna nazwa Królewiecka, w tej Oficerskiej Szkole Piechoty nr 3, gdzie zwerbował mnie – pod przymusem – ten politruk mjr Podgórski; po wojnie nie czułem żadnej miłości do wojska. Ponieważ "nie nauka, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera", podstawą przyjęcia do wyżej wymienionej uczelni było 7 klas szkoły powszechnej, i uczyliśmy wszystkich przedmiotów: ja wykladałem nawet od czasu do czasu matematykę mimo braku jakichkolwiek talentów w tym kierunku... Gross tzw. podchorążych to byli parobcy ze wsi, którzy przed wojną nie ukończyli często szkoły – i trzeba było zaczynać od podstaw, od nauki alfabetu – tymczasem były to chłopcy mocno pod wężem, które przeszły szlak bojowy znad Oki do Berlina! Ja miałem nawet jakby łatwiej, bo musiałem tylko wprowadzać na zajęciach najprostsze pojęcia z zoologii i botaniki – nacisk był jednak na "ideologizację", na obowiązkową teorię Darwina, wykładaną często takim... co mieli problem z podpisaniem się! Praca nie była łatwa, ale uczniowie byli młodzi i chętni, widzieli perspektywę uwolnienia się od wegetacji na zacofanej i na siłę kolektywizowanej wioski... Z wielkim mozolem – jakoś to szło...

Wykłady mieliśmy dwa razy dziennie od 8-19 (z przerwą na obiad w kantine), pięć godzin przed i 5 godzin po południu. Podstawowym przedmiotem, którego uczyłem, była biologia. Ponieważ traktowałem naukę poważnie, byłem nauczycielem wymagającym – reszta kolegów stawiała wszystkim "trójeczki". Przy podsumowaniu semestralnym wiecznie były pretensje... do mnie: "jest taki nauczyciel, który stawia "dwójki!" Ale stawiałem również bdb, db, dst. i ndst. Oczywiście, na konferencjach traktowano mnie, jako byłego członka Armii Krajowej, wyjątkowo podle, wyśmiewano się ze mnie: "głupiec! po co on się wychyla?" dowódcy plutonów skarżyli się, że psują im "tabelę ocen" i z matematyki stawiam "dwójki"... Jak zwykle – najlepiej nie wychylać się, nic nie robić...

Napisałem w proteście do MON, przedstawiłem sytuację, że chcę NAPRAWDĘ uczyć, że spełniam przysięgę nauczycielską, uczę i klasyfikuję wg pięciostopniowej skali ocen i proszę o przysłanie komisji ds. nauczania. Efekt?

Rusek, nasz komendant szkoły, płk Barański (nazwisko przybrane), świetnie władający językiem polskim, wzywa mnie i mówi:

- To będziemy was sprawdzać, towarzyszu!
- Nie, pułkowniku – będziemy sprawdzać pracę wszystkich nauczycieli! – ja na to.

Za miesiąc przyjechała z Warszawy 3-osobowa komisja: Żyd – major i dwaj kapitanowie – Polacy. Stało się, jak powiedziałem. Zwracając się do grona wykładowców, przewodniczący komisji rzekł:

- Towarzysze, będziemy sprawdzać lekcje wszystkich nauczycieli.

Lustracja trwała cały tydzień. U mnie byli na trzech lekcjach w trzech różnych plutonach, podobnie jak zresztą u innych. Otrzymałem pełną satysfakcję – podsumował "imprezę" przewodniczący, major:

- Jest wśród was tylko jeden nauczyciel – to towarzysz Pieńkowski. Reszta nic nie

robi – bo ważne jest tylko, żeby postawić "trójkę"!

Możecie sobie wyobrazić minę plk Barańskiego, miny i złość tych "kolegów – wazelinarzy" z pracy... Już do końca mojej kariery w Oficerskiej Szkole Piechoty miałem spokój i "uszanowanie". Tylko że...

W początkach marca wezwał mnie komendant i rzekł:

- Dostaniecie pensję do końca sierpnia 1950 r. i zwolnienie. Nie możecie u nas pracować, bo byliście w AK.

- Przecież napisałem wam, że byłem tam tylko wywiadowcą!

- Gdybyście tego nie napisali, to byłby krótki wasz proces i śmierć dla "zaplutego karła reakcji"!

Musiałem też odejść... bo nie "wazelinowałem" ani mjr Czeczковского (prawdziwe nazwisko Czyczkow), ani komendanta "Barańskiego" i innych wykładowców, pięknie po polsku mówiących... Rosjan. Bliższe relacje łączyły mnie tylko z mjr Żambo, Kupidłowskim, kpt. Grzędzickim, Durkaczem i in.

Na tym się rozstaliśmy. Jaka była "radość" moja, że tak małą cenę zapłaciłem za "nieprawomyślność" w czasie wojny wyzwolenczej! Odprawę dostałem do końca roku szkolnego – do końca też korzystałem z opieki medycznej (mieszkanie mi pozostawiono, ze względu na dwójkę malutkich dzieci i żonę – i w blokach oficerskich mieszkałem, aż do wyprowadzki z Elbląga). Vis-a-vis nas mieszkał kpt. Tolłoczko Piotr, Polak z Łotwy; brat jego, śp. Wiktor, był w AK, zginął w Stutthofie. Jego matka, stara Tolłoczkowa, była z pochodzenia Niemką – i nie miała żalu, że hitlerowcy zamordowali jej syna... Pod nami mieszkał mjr Lorkowski z żoną – razem z nimi kiedyś byliśmy w teatrze na "Panu Jowialskim" z Mieczysławą Ćwiklińską i prawie 100-letnim wtedy Ludwikiem Solskim...

Zacząłem szukać pracy. I znalazłem dziwne technikum: technikum torfowe. Prawda, że najpierw znalazłem Instytut Torfowy pod dyrekcją Józefa Dubois (potem poszła fama, że były Francuz jest... pederastą). To on ze mną rozmawiał:

- Panie kolego, proszę pana, żeby w technikum objął pan naukę biologii.

Tak więc pracowałem na dwóch etatach. W instytucie miałem rangę starszego asystenta przy katedrze botaniki torfowej. Dali mi mikroskop i przeszedłem kurs określania stopnia rozkładu torfu w 100%-owej skali. Jako botanik miałem wykłady z torfoznawstwa i badania mikroskopowego torfu.

Pierwszy mój dyr. technikum torfowego, Kryń, był dyrektorem aż dwóch szkół – i chciał koniecznie, żebym objął dyrekcję tego technikum, ale coś mnie odtrącało od tego człowieka i jego propozycji. Do czasu nominacji Mcinyczuka – z nomenklatury (chwalił się, że ukończył... gimnazjum przed wojną i był gdzieś tam skrybą) – "wykładowcą" nr jeden był towarzysz dyrektor dr Dubois (twierdził, że jest krewnym samego François Dubois, słynnego przedwojennego francuskiego komunisty)... Pamiętajmy: kadry nauczycielskie w Polsce były w czasie okupacji zdziesiątkowane... Edukacja narodowa chwiała się w posadach, i w oświacie polskiej angażowano każdego, kto choć cokolwiek wiedział, potrafił, umiał i... chciał.

Jak to było do przewidzenia, jak bumerang oczywiście, powróciła sprawa tych niby "zbytich moich wymagań" w szkole – i coś we mnie pękło; dopracowałem w technikum do końca roku... i sam się zwolniłem. Zrobiłem to w porę: lekarz po-

wiedział mi któregoś dnia "albo taka wyczerpująca praca na dwa etaty (w instytucie i technikum) i krótkie życie – albo gruntowna zmiana w podejściu do siebie i własnego zdrowia". Pięć godzin dzień po dniu patrzenia w mikroskop, w którego siatce widać było od bezpostaciowej jednorodnej masy do różnych stopni rozkładu fragmentów liści, kory, cząstek mchów, drewna itp., do tego szarpanina w technikum z bimbającą sobie wąsatą młodzieżą, szykany ze strony "kolegów" i przełożonych...

W drugim roku pracy pojawiły się straszliwe bóle oczu (szczególnie w prawej gałce) i ... poszukiwanie okulisty. Tymczasem był rok 1950 – i w Polsce nie mogłem znaleźć żadnego takiego fachowca! Ból świdrował gdzieś z głębi mózgu i wwiercał się dosłownie w gałki oczne. Najgorsze, że nie mogłem wcale spać! Gdyby nie obawa o żonę i malutkie dzieci... a i ten przesąd... popełniłbym chyba samobójstwo... Z instytutu dostałem skierowanie do ośrodka zdrowia, na naszej ulicy Moniuszki. A tam był tylko felczer, który mi powiedział:

- Nic panu nie poradzę, ale wie pan co? Zrobię panu zastrzyk z penicyliny olejowej – akurat dostaliśmy. Cudowny lek na wszystkie choroby! (nie wiedział, że tylko przeciw infekcji bakteryjnej)

Zasugerowany jego słowami wziąłem zastrzyk – i momentalnie zasnąłem: natychmiast ulga!! Jak ręką odjął! Powiedział również, że lek działa przez 4 godziny – i rzeczywiście, po tym czasie "obudziłem się"... z tymi samymi bólami! Wróciłem więc, i dał mi kolejny zastrzyk:

- Teraz niech idzie pan do domu. Proszę po następny przyjść już do mnie. Mieszkam blisko pana.

Nie wiem, jak długo, ile tygodni "faszerował" mnie tą penicyliną, i żyłem tylko tymi zastrzykami... i kiedy poczułem, że tracę wzrok, jakby mgła zasłaniała mi pole widzenia... Dowiedziałem się od kogoś, że okulista jest... w Grudziądzu: lekarz Jakubiec! Byłem również u niego, lecz on był takim okulistą – jak ja – księdzem. Rozłożył tylko ręce i rzekł:

- Nie wiem, co panu jest... – zapisał jakąś miksturkę... i ulgi nie było.

Wracałem załamany – pewny, że czeka mnie utrata wzroku... Całkiem przypadkowo podczas rozmowy w pociągu jakaś pani rzekła mi:

- Panie! wy tam w Elblągu macie przecież cudowną okulistkę, która prowadzi oddział okulistyczny przy szpitalu miejskim!

Wreszcie bezcenna wskazówka – i ratunek prawdziwy! Okazało się, że jedyna okulistka z tytułem dr medycyny jest... całkiem pod ręką, w naszym szpitalu na okulistyce, pani dr Clair-Sobieska, żona dyrektora Zamechu w Elblągu. Ten mój felczer – specjalista od penicyliny chyba nawet osobiście ją znał... Tymczasem moja choroba poczyniła takie postępy, że gdybym miał broń, zastrzeliłbym się: bóle były tak potworne, że noce spędzałem, krążąc po mieszkaniu, jak zwierzę w klatce.

Pani doktor przyjęła mnie bardzo uroczyście:

- Panie Waławie! Matka Najświętsza przyprowadziła pana do mnie! Gdyby pan przybył za tydzień, nie mogłabym już nic dla pana zrobić! Choroba herpes zoster jest wirusowa i atakuje zakończenia nerwów ocznych.

Dopiero teraz zaczęto mnie naprawdę leczyć: co dzień dostawałem 10 ml glukozy z vit. C vit. A + vit. E i in. mikroelementami:

- Przecież pan jest szkielet! Ciągłe się kłania obóz? Muszę pana postawić na nogi po tej pańskiej kuracji w Stutthofie!

Po dokładnym zbadaniu oczu:

- Co oni z panem zrobili! Pan był dzięki nim na prostej drodze do ślepoty! Czym pana leczono, profesorze?!

- Sześć razy na dobę otrzymywałem zastrzyk penicyliny...

Wzięła się za głowę:

- Boże! co by było, gdyby pan zachorował na przykład na zapalenie płuc?! Pan wie, że penicylina leczy tylko choroby bakteryjne?! nie herpes zoster – wirusowy półpasiec oczny?! Widzi pan? Stał się cud, że Matka Boska skierowała pana do mnie! Pan Bóg pomoże, że wyleczę pana z tego!

Świętej pamięci dr Clair-Sobieska leczyła mnie – z przerwami – 4 lata. Leżę na okulistyce, co 3 miesiące stawiam się w instytucie, bo wyrzucą z pracy, a tu w domu piszczą mały Juleczek i jeszcze mniejsza Ewa... Wreszcie, pod koniec 4 roku pokazały się ropne nacieki – i przyszedł moment krytyczny w mojej chorobie. Rozpacz: grozi ślepotą! Jednego dnia ta moja święta dobrodziejka oświadczyła mi:

- Panie profesorze... niech się pan modli gorliwie wraz ze mną! Zaczęłam nowennę do Matki Boskiej Jasnogórskiej w intencji uzdrowienia pana... Czy się pan zgadza? Zabieg będzie bezbolesny, niemęczący i krótki. Potem pozostanie pan w całkowitej ciemności 30 dni – cały miesiąc... Zabiegu dokona moja zastępczyni, pani dr X (muszę zaznaczyć tutaj, że dr Clair-Sobieska była również wykładowczynią na Akademii Medycznej w Gdańsku)... Panie profesorze, będzie miał pan wszczepioną żywą tkankę z błon płodowych pod spojówkę obu oczu. Ja będę w tym czasie w USA na zaproszenie Akademii Medycznej w Y. Mam tam nauczać właśnie tej metody, którą i pana lecę: to zabieg słynnego Filatowa, uczonego radzieckiego. Niech się pan cały czas modli! Powrócę za miesiąc – i wówczas się pański los rozstrzygnie...

Przebywanie cały miesiąc z zawiązanymi oczami w całkowitej ciemności nie było łatwe i dało mi przedsmak tego, co by stało się ze mną, gdyby operacja się nie udała... Byłem całkowicie zdany na kolegów – współpacjentów i niższą służbę medyczną... Miałem towarzysza niedoli, który w tym czasie po prostu "tracił światło w oczach" z dnia na dzień! To on mnie teraz oprowadzał, jak przewodnik – ślepeca...

Po miesiącu powróciła moja dobra wróżka – śp. dr Clair-Sobieska. Wróciła w sławie i z wielką forszą (takie plotki poszły), ale jej stosunek do chorych nie zmienił się. Jak zawsze ubrana tylko w szlafroczek (mieszkała przy Szpitalnej vis-a-vis kliniki) odwiedzała nas, swoich pupilków, nawet w nocy:

- Jak się czujemy? Są jakieś życzenia? Czy żona była u pana, panie profesorze?

W przeddzień uwolnienia mnie od ciemności zwróciła się do mnie:

- Panie Waclawie, niech pan żarliwie się modli! Jutro okaże się czy będzie pan widział!

No, i nadszedł ten dzień, wyglądamy z takim utęsknieniem... W ciemni zdjęła mi moja dobrodziejka bandaż, zapaliła małą żaróweczkę, jak z najmniejszej latarki – zajrzała w oczy i wykrzyknęła:

- Profesorze! Matka Najświętsza uczyniła cud! Teraz już szybko będzie panu wracał dawny wzrok! Sokoli wzrok! Przeszczep żywej tkanki się udał!

Pani doktor uścisnęła mnie w zapamiętaniu, ja ucałowałem jej święte dla mnie dłonie...

Dokładnie według jej słów z dnia na dzień poprawiał mi się wzrok...

- Pani doktor czy ja będę mógł kiedyś czytać?

- Profesorze, to, co mówiłam o powrocie pana do zdrowia – to nie było tylko na pocieszenie! Dzisiaj musi pan używać okularów +5 dioptrii, ale w niedalekiej przyszłości zobaczy pan, że trzeba będzie wkładać coraz słabsze szkła! Teraz ma pan zrosty na rogówce, które panu przeszkadzają w lepszym widzeniu. Wszczepiona żywa tkanka spowoduje po pewnym czasie wchłonięcie wszelkich blizn i zrostów!

Tak było, jakby święty prorok odgadł: może po pół roku a może po roku zacząłem źle widzieć w moich okularach i poszedłem do mojej wybawicielki, a ona:

- Pamięta pan naszą rozmowę na pożegnanie kliniki? Widzi pan, że przewidziałam skutek przeszczepu? Tutaj, proszę, recepta dla pana na szkła +3 dioptrie.

Takie okulary noszę do dziś – świetnie w nich widzę i dużo czytam, oczywiście przestrzegając zasad higieny wzroku i profilaktyki. Już przed operacją rzuciłem też nałogowe palenie. Co jakiś czas odwiedzałem śp. panią doktor i zawsze jej padałem do nóg, dziękując za ocalenie. Starowinka zapominała już pewne zdarzenia, więc często powtarzała:

- Pana już nie pamiętam, ale proszę opowiedzieć swoją historię...

Podczas ostatniego spotkania powiedziała:

- Panie profesorze, niech pan ucieka z Elbląga! Wprawdzie nie wolno mi tego mówić – ale mnie pan nie wyda, prawda? Klimat depresji elbląskiej panu nie sprzyja! Czy pan słyszał o tym?

- Tak, pani doktor. Niemcy i autochtoni Polacy mówili, że urzędników przed wojną zmieniano tutaj co 3 lata. Mieli oni prawo po tym czasie prosić o przeniesienie do wybranego Landu w Reichu. Rozumiem, pani doktor. Z całego serca dziękuję!

I wyprowadziliśmy się do Chorzela... A tam nowy początek kolejnych perypetii – jak to na mojej drodze...



Rozdziały książki:

- 1) Nota biograficzna
- 2) Wybuch wojny
- 3) Roboty przymusowe
- 4) Obóz Młyńska 19 (Internierungslager Mühlenstraße 19)
- 5) Prusy Wschodnie
- 6) Łotwa
- 7) Więzienie „Centruszka”
- 8) Stutthof
- 9) Droga Śmierci
- 10) Powrót
- 11) Pokłosie

PIEŃKOWSKI, Waclaw (1919-1994), Apokalipsa : wojna 1939-1945 : wspomnienia. – Warszawa : Warszawska Oficyna Wydawnicza, 2013. – ISBN 978-83-7805-736-9.

Notatki

Notatki

(L.B.S.)

Redakcja: Tadeusz Rauchfleisch, Janusz Hinz. Logo KMDG wykonał Grzegorz H. Rygielski.